

# TYGODNIK ILLUSTROWANY



N<sup>o</sup> 178.

Prenumerata w Warszawie:  
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,  
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 21 lutego 1863 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:  
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3  
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM VII.

## TREŚĆ NUMERU.

Dawne ubiory i uzbrojenia (drzeworyt) dalszy ciąg. — Kronika tygodniowa. Dwa pierwsze groby (dokonczenie). — Bernard Pretleż (z drzeworytem). — Rozwalyń zamu w Szymbarku (z drzeworytem). — Z Suwałk do Augustowa (dalszy ciąg). — Przegląd polityki zagranicznej. — Korrespondencya od redakcyi. — Niezamyśl i Zaniemyśl (z drzeworytem). — Zadanie konikowe i rebus.

Ale pomówmy dziś o popielcu piękności.

Witajcie wdzięków królowe! Dla was upojenia życia, dla was rokosze jego, dla was raj ziemski. Jak owo bóstwo z morskiej piany powstałe, ukazujecie się światu

w całej chwale swojej, w całym blasku piękności niczém nieprzyćmionej, nie zrównanej niczém. Ten przymiot starczy wam za wszystko: za rozum, za serce, za bogactwo, za władzę, za królowanie. Bo i któraż z was nie czuje się panią wszechwładną pośród grona poddanych, których czoła zmietają proch pod stopami waszemi? Chciejcie tylko, a wszystko się stanie. Pragniecie majątku, — macie go, pragniecie przewagi, — otrzymacie ją, i to na każdym kroku, w każdym miejscu. Wszystko niknie przed blaskiem jaki promieni od was. Dla pięknej kobiety nie ma niepodobnego, czuje się wszechwładną, jak ów Tygranes armeński, którego złocistą lektykę sześciu królów nosło. Dla niej najwonniesze kwiaty, najcenniejsze koronki, najdroższe kamienie, materye z włókna pajęczego snute. Ale co jej po tych wszystkich przydatkach, po tych ozdobach które niezdolne są powiększyć jej blasku? Dla niej, dla mnie, dla ciebie, dla nas wszystkich najpiękniejszą ozdobą jest ona sama. Ona jest najrzadszym diamentem, najwonnieszym kwiatem. Uwielbiamy każde słowo z ust jej wyszłe, bo z takich ust tylko słowa godne uwielbienia wychodzić mogą.

## Kronika tygodniowa.

## DAWNE UBIORY I UZBROJENIA

(Dalszy ciąg).

(Zebrał i rysował Juliusz Kossak).

Odebrałem wczoraj list następujący:  
Panie kronikarzu.

Powinienem otrzymać medal za ratowanie tonących. Spytasz mi się kogo uratowałem. O zaslepienego kronikarzu! Ciebie to ratuje, ciebie samego, ciebie, który przyznajesz się, że od pewnego czasu z trudnością przychodzi ci napisać kronikę. Otóż ja wyręczam cię, podejmuję się za ciebie roboty i nie żądam żadnej zapłaty za to. Nieprawdaz że to szlachetnie? Ale nie uchodzi chwalić się samemu, zatem bez dalszych omówień przystępuję do rzeczy.

W tym tygodniu skończył się karnawał. Ręczę że ani pomyślałeś o tém iż się skończył, boś i o zaczęciu jego nie wspomniał. Ale kalendarz ma swoje prawa i nienapróżno na nim dzień popielcowy kursywą jest oznaczony. Pamiętaj o tém żeś prochem jest! Otóż o tym prochu zamierzam z tobą trochę pomówić; przedmiot niezabawny, ale niezawsz zabawy na świecie szukać, a ci którzy czytają twoją kronikę, powinni być przyzwyczajeni do tego.

Mówię to dlatego, najprzód żeby każdy wiedział, że cię nie zjednałem komplementami do wydrukowania mojego listu, powtóre ażeby się odróżnić od zwykłego systematu korespondentów, którzy zasypują pochwałami redaktora do którego piszą i zmuszają go, z wielkim uszczerbkiem jego skromności, do stawiania się w położeniu doktora otrzymującego podziękowanie w gazetach za wyleczenie z kataru i kaszlu.

Lecz wróćmy do karnawału i popielca. Rok jest częścią życia, ale i obrazem życia. W tém naszym nędznym istnieniu karnawał i popielec następują po sobie ciagle, przedrzeźniają jeden drugi i wiecznie starają się wzajemnie zacierać. A ile jest uczt życia, tyle i popielców po nich. To nieuniknione błędne koło, w które wplecieni, dążymy gdzieś do nieznanego.



Nr. 53.

Wiek XVI. Niewiasty stanu szlacheckiego w strojach świątecznych. (Rysunek wzięty z księgi rodu Szydłowieckich. (Liber geneoseos illustris familiae Szydłowiciae). (Dalszy ciąg nastąpi).

Ale karnawał szybko mija, ostatki nadchodzą. O Boże mój, jakaz zmiana! Te promieniste barwy bledną, wędnieją róże, blask świeżości przyćmiewa się. I dlaczegoż to? Bo gasną powoli lampy balu życia i zbliża się ranek, ranek ze światłem słonecznym, ranek popielcowy, przed którym ustąpić muszą wszelkie złudzenia, wszelkie przybory, wszelki fałsz, chociażby najlepiej podtrzymany. Biada wam, wy wszyscy, których światło poranku popielcowego balujących jeszcze zastało: spojrzcie po sobie i nie poznacie się. Znikła świeżość twarzy, przybladły barwy ubiorów, blask życia zagasł. Na tém śnieżnej białości czole, rysują się już zmarszczki, z początku nieznaczne; ale wżerają się one coraz głębiej w ciało, znacząc je niezatartymi już niczém szramami. Gdzież te kwiaty, gdzież ta woń, gdzież to promieniowanie piękności, które wszystko rozjaśniało dokoła? Na pomoc kosmetyki, masei i pomady, na pomoc olejku Ninony, i wodo Florydy, i Suferyno, i pomadko różowa, i korku do czernienia brwi, i ciemna farbo do robienia kątów w oczach, i blanszu duński,

rózu i japoński, i roztworze z ziół wonnych ogłaszany po wszystkich dziennikach! Rozpiszmy wicie: niech się zjawia sztuczne zęby, i szeniony, i suknie watawane i gorsety mechaniczne, i wyściółki wszelkiego rodzaju. Ale napróżno, dzień smutny się zbliża, straszliwe słowa brzmią w powietrzu: *pulvis es...* I trzeba popiołem głowę posypać, trzeba zrzucić ostatnią maskę, ostatnie przebranie i pożegnać karnawał piękności.

Te mary, które pokusą zdradną  
Łudzili ciebie w młodości snach,  
Jedna po drugiej z ciebie opadną,  
Jak cegły, kiedy upada gmach;  
Żadna ich zwrócić niezdolna siła  
I żadna sztuka nie sprosta im....  
Próżno je sercem będziesz gonila,  
One się w mglisty rozwiewają dym.

A popielec miłości!....

On także często wśladał za tamtym idzie. To koniec rozdziału, to ostatnia stronica powieści, to przerwana strofka poematu.

Póki kwiat był w swojej dobie  
I nietknięty żaden listek,  
Mówił: kocham.... oddam tobie  
Duszę, serce, skarb mój wszystek.  
Uwierzyła.... biedna zato....

Ba, niechaj sobie co chcą mówią poeci, każda wiecznie wierzyć będzie. Ani wykrzykniki poetów, ani przestrogi moralistów nie pomogą na to. Jeszcze podobno najlepiej uczynić jak księżę de Richelieu w panie de Belle Isle, rozłamać pieniądź złoty i czekać aż jedno drugiemu odda połówkę.

Podanie perskie mówi, że Ormuzd przy stworzeniu świata rzucił perły na ziemię, a złe duchy rozciąły je. Otóż te rozcięte perły, to połówki rozrzucone tu i owdzie, to dusze kobiet i mężczyzn, szukające się wzajem po ziemskiej przestrzeni. Jeżeli dwie połówki odnajdą się, złączone przez miłość, utworzą wówczas jedną doskonałą całość,—perłę najczystszej wody. Ale jakże rzadko się to zdarza, jakże często dla niedobrych połówek przychodzi dzień w którym z rozpaczą poznają, że każda z nich jest odmienną natury! A wówczas, to prawdziwy popielec miłości. Nieraz w dzieciństwie naszym zdarzało się, żeśmy się zachwycali jakim widokiem, że gmach, rzeźba, obraz, lada pospolitość czasem, wzbudzały w nas podziw, żeśmy łzy wylewali nad pierwszą lepszą książką, co nam wpadła do ręki, choćby nad Rinaldinim. A potem, kiedy minęły owe szczęsne chwile świeżości ducha, kiedy po kilkunastu latach pragniemy odnowić sobie dawne ulubione wspomnienia, widok pospolicieje, maleje gmach, a książkę pojmujemy już jako rzeczywiście nędzną ramotę i nie możemy się wydziwić z kąd się u nas brał taki zapas uwielbienia, cześci, poetyzowania wszystkiego. Otóż miłość jest właśnie takim stanem ducha, oblekającym przedmiot uwielbiany w barwy tęcze i z własnego snute serca. A potem.... „I mogłamże ja go kochać, jego, co zajada tak prozaicznie pieczeń z różną, jego, którego wiecznie czuć cygarem, jego, który, o zgrozo! nosi pantofle! Alboż on tak wyglądał wówczas jak dzisiaj? Układny piękny, wysmukły, idealny! A dziś“....

Tę samą pioszeczkę wypiewuje nieraz i druga, brzydsza połowa ludzkości. I nie mogą biedni pojąć, że karnawał minął, że szal się zakończył, że światła zagasty. *Pulvis es...* Przyszedł dzień skruchy, wraca do ziemi co z ziemi wyszło; przy wyjściu z maskarady przyprawny nos schowało się do kieszeni, a atlasowe, zdobne zapinkę z dyamentów domino, zawieszono w garderobie. Mój panie i pani, intrygowaliście się wzajemnie; dziś prawda się wyświeciła. Nie gniewajcie się więc na siebie. Taką dola maskarad, takie przeznaczenie karnawału, taki los miłości. Nadszedł popielec i wszystko znikło.

I czyliż majątek nie ma także swojego karnawału, dziś zwłascza....

Gdy znikł ten zapal co podbijał światy,  
Gdy ludzie cielec złote wyciosali,  
A świat podobny do giełdowej sali,  
Po której chodzą ludzie-assygnaty.

I jakże się dziwić odurzeniu tych, których jedna szczęśliwa chwila, jeden uśmiech fortuny, wyniosły na najwyższe szczeble tej drabinki społecznej, której grosze stanowią podstawę, a miliony szczyt? Ale często co jedna chwila wzniosła, druga zburzyć może....  
*Et in pulverem revertis.* A wówczas....

O jakżeby dobrém i pożytecznym było, gdyby do tryumfalnego wozu tych wszystkich panów, którzy siedząc na stosie złota i listów zastawnych, poglądają z góry na nędze ludzkie, pomiatając nimi a często im nie wierząc, gdyby do takiego wozu przyche-

piono jakiego niewolnika, jak do rydwanu tryumfatorów rzymskich, któryby im znikomość rzeczy ludzkich przypominał! Gdybyż choć bajka Krasickiego o szurze co mu kadzono, przysłała im na pamięć! Ale zkadże? Gdzież im myśleć o bajkach Krasickiego? Czy uwierzyć, że ci którym los posłużył, wszystkie przymioty miliona biorą za swoje, uważają się za rozumnych, twórczych, genialnych, — ba, najpracowitszych z ludzi.

Za dowód niech posłuży najzretelniejsze powtórzenie rozmowy pewnego bankiera z pewnym literatem, Owóż w pewnym towarzystwie mówiono raz o dochodach, jakie różne sposoby do życia mogą zapewnić ludziom.

— Czy nie rozgniewasz się pan, rzekł bogaty bankier, zwracając się do literata, gdy panu zadam jedno pytanie?

— Ale zadawaj pan, i owszem.

— I pan mi na nie szczerze odpowiesz?

— Jaknajszczerzej.

— Otóż chciałbym wiedzieć z czego się pan utrzymujesz?

— Jakto z czego? piszę, poezye, powieści, artykuły różne.

— I żadnego innego *procederu* pan nie prowadzisz?

— A nie.

— I potrafisz pan żyć z tych swoich wierszy i powieści?

— Naturalnie że żyję. Wprawdzie nie mam takich powozów jak pan, ani takich pięknych koni, ani pałacu, ani zgrai służby liberyjnej, ale wyżyć mogę, to dla mnie dość.

— Dziwna rzecz, rzekł bankier kręcąc głową, to przewraca wszystkie moje społeczne wyobrażenia. Ja myślałem, że na tym Bożym świecie ażeby potrafić wyżyć, trzeba koniecznie coś robić.

Otóż ów bankier, skupujący papiery, wydający weksle i robiący różne pieniężne interesa, myślał że robi coś, a tego biednego literata, który potrafił tylko pisać wiersze, miał za najnieużyteczniejszą w świecie istotę, za nędzny pasożyt.

Kiedy Karol XII dochodził do lat dziesięciu, pokazano mu po pierwszy raz mapę ówczesnej Szwecyi. Tam ręką ojca własnego, Karola XI, przysły bohater ujrzał podpisane pod Pomeranią te wyrazy:

„Co Bóg dał, Bóg wziąć może. Niech będzie błogostawiona jego wola.“

Młodziacy Karol XII napisał:

„Co Bóg dał, diabeł mi tego nie odbierze.“

Ale pokazało się, że diabeł był silniejszym od Karola XII, pomimo całego jego bohaterstwa.

Otóż pytam się co się stanie z tymi karnawałującymi bogaczami, gdy los co im dał wiele, odbierze wiele? Może pozadroszciliby wówczas tego nędznego utrzymania literata, który *nic nie robi*, może nie znajdą go nawet. Te zera, następujące po jednostce, to tak się piszą szybko, ale tak szybko także zmazują się!...

A teraz przejdźmy do popielca chwały i wziętości literackiej. Ilez to takich dni srodowych, następujących po tłustym czwartku, przesunęło się przed oczami naszymi! Ilez to posągów, które spadły z podstaw swoich i połamały się w kawałki! Do wyniesienia ich starczyło nieraz jedno mgnienie szczęśliwej okoliczności, jeden powiew co przebiegł tłumy, wyraz co się podobał, może jakieś fatalistyczne powiązanie liter w nazwisku. A poczciwi ludzie biorą to za prawdziwą zasługę i sądzą że posąg zbudowany jest z czystego karraryjskiego marmuru, kiedy przeciwie to glina, gips, albo massa papiérowa. Niestety! dla takich popielec przedź jeszcze przychodzi aniżeli dla innych, a smutniejszy on i bardziej rozpaczliwy. Powiedły wieniec, rozpadła się korona z promieni. Zwycięzca na igrzyskach olimpijskich poszedł w kąć sarkafu na tych, którzy po nim laury odbierają. A nie wierzy swojemu upadkowi i szczyt się i panoszy przebrzmiałą już wziętością.

Otóż na tych biedakach podwójna ciężka kara, bo ci którzy na chwilę dali się olśnić mniemanem ich wielkości, poczytują im za winę błąd w jaki sami popadli. Im bardziej wienieczone i obsypywano kadzidłami, tym więcej rzuca się potem kamieni i błota. Na zniweczenie posągów, które obecnie ludzkość sobie buduje, nie potrzeba następujących po sobie pokoleń, ani niezblagannej surowości dziejów; wystarczy na to wziętość fotograficzna. Przejdźcie się tylko po magazynach panów fotografów i przekonajcie się ile od kilku lat przesunęło się przez nie ludzi wielkich i wziętych. A z wieloma z nich cóż się stało? Gdzież oni? Czy Neptun jaki zagniewany wyrzekał o nich swoje piorunujące *quos ego?* Niestety! przysłała dla nich sroda popielcowa i wszystko znikło: wzięcie, rozprzedaż i wystawa przed sklepami. A potem archeolog jakiś fotograficzny, widząc walające się w kącie, zaniedbane i zapyłone odbicie, zapyta:

— A to kto?

I odpowie mu fotograf, wzruszając ramionami:

— A panie, kilka lat temu doskonale interes zrobiłem sprzedając ten portret. Wszyscy go rozkupowali. Dzisiaj zrobił on już swoje i leży zapomniany, a zaledwie pan jeden zapytał się o niego.

— I dlaczegóż tak rozkupowali? zapyta może ciekawiec.

— Albo ja wiem? rzeknie fotograf, kto to odgadnąć może? Zapewne dlatego, że im się tak podobało.

I taką będzie mowa pogrzebowa byłej wielkości. Szczęśliwa jeszcze, jeżeli użyta zostanie jako naddatek do znakomości na dobie będących. Panowie fotografy, to wielcy filozofowie i bardzo przenikliwi ludzie. Tyle znakomości przeszło im już przez ręce, że umieją w porę odgadnąć kiedy na kogo sroda popielcowa przypada. Wówczas odsuwają portret na bok i wszystko się już dla niego skończyło. W kącie staruszku, nie zważając drugim! Przebyłes swoją porę, teraz czas na innych. *Pulvis es...*

A teraz dodajmy parę słów o ostatnim popielcu, o tym który nas wszystkich prędzej czy później niezawodnie czeka. Rozmaite przybiera on kształty: czasem stanowi go sześć paradnych koni ozdobionych w strusie pióra, a przyczepionych do wozu żałobnego, okrytego suknem naszywanem srebrnymi galonami; czasem prosta, drewniana, czarno pomalowana trumna, za którą dąży kilka sierot białych i splakanych, stanowi całą jego okazałość. Bo niestety! i ta ostatnia jeszcze uroczyście stanowi część nieodłączną maski karnawałowej życia, uśmiechniętej czy zapłakanej, jaką kto przybrał sobie, albo też jaką los włożył mu na twarz. Maską bywa i mowa pogrzebowa, i nekrolog umieszczony w tym lub owym piśmie publicznym, maską nawet czasem ponure twarze krewnych, przyjaciół i znajomych odprowadzających kondukt. Ale w kilka lat, w kilka miesięcy, w kilka dni może, przypadnie termin ostateczny: zniknie maska z twarzy tych którzy dziś płaczą i żałują, zniknie przebranie karnawałowe. Szczęśliwi ci, co na tym sądzie, który w Egipcie odbywał się jawnie przy świetle słonecznym, a który u nas ma miejsce kryjomo, w głębi sumienia własnego, zasłużyli sobie na zabalsamowanie ich pamięci. Trwalsze to od ziół jakimi ciała ochrania się od zgnilizny i od pomników stawianych na grobowcach, gwoli jeszcze ostatniej światowej okazałości. Proch powrócił do ziemi, ale część z nas najlepsza pozostaje tutaj i żyje w swoim dziele, bo każdy wedle siły musiał się przykładać do wielkiej budowy, stosownie do duchowych czynników które weszły w skład jego życia.

Skończyłem już, mój kronikarzu, i słowa więcej nie dodam do tej bazgraniny, którą gdy odczytałem, przychodzi mi tylko żałować że trochę za bardzo na kazanie wygląda. Trudno mi jednak już zmieniać; umieść ją jak jest, albo nie umieść wcale. Pozostawiając to zupełnie twojej woli, mam zaszczyt i t. d.

Umieszczam ten list z tej głównie przyczyny, że spełniając mi całą kronikę, uwalnia mnie na dziś od ciężkiego obowiązku. Czynie to jednak z drżeniem serca, bo lękam się żeby czytelnicy, znużeni jednostajnością przedmiotu, nie wzięli tej kroniki za mój popielec literacki.

Powyższy list nieznanego korespondenta, jakkolwiek kronikarzowi naszemu bardzo wypadł na rękę, tyle jednakże zajął miejsca, że zaledwo jeszcze pozostaje nam kilkanaście wierszy na powitanie nowego pisma „Wędrowca“, którego pierwszy numer, spóźniony nieco zbiegiem różnych okoliczności, onegdaj wyszedł na świat. A przecież Wędrowiec i Tygodnik, to jakby bracia przyrodni, to dzieci jednego gniazda, chociaż różnie charakterem i wiekiem. Tygodnik starszy, poważniejszy, domator przywiązany do rodzinnej swej strzechy, pilnuje ojczywego zagonu, rozglądając się w przeszłości niekiedy z fantazją szlachką, a częściej odziany w kurtę szaraczkową, lub w skromną siermięgę wiejską;—Wędrowiec, to dziecię żywe, uśmiechnięte, co lubi zbierać kwiaty na całym Bożym świecie, nie pytając z jakiego zerwane są łanu, byle wonne i nadobne, byle podzielić się nimi z towarzyszymi wędrowki,—dziecię zalotnie przystrojone w szaty coraz nowe, błyszczące, które choć i nauką chętnie się zajmuje, umię w niej zawsze upatrywać stronę lekką, przystępną i przeszliznąć się po powierzchni, nie dotykając głębi. Ręka w rękę idąc, Tygodnik—młodzieniec i Wędrowiec—dziecię przyniesie mogą krajowi pożytek, czytelnikom naukę i zabawę, dopełniając się wzajemnie i przybierając potrosze jeden od drugiego przymiotów, na jakich każdemu z nich osobno dziś zbywa. Takim przemówieniem brat starszy wyprowadza na świat młodszego, polecając go względem publiczności, jako krew z krwi własnej, jako odrośl jednego szczepu.

# DWA PIĘRWSZE GROBY.

(Zdarzenie prawdziwe).

(Dokończenie).

Nie mogło trwać długo szczęście młodych kochanków, bo kiedyż szczęście długo trwa na ziemi? I chociaż nam ludziom nieraz się zdaje, że gdzie czas jakiś zagodzi, zawsze się znaleźć musi ktoś co je spłoczy. Nagle też się przerwało tęczobarwne pasmo czystych młodocianych radości, które opiekowało życie Ostapa i Jaryny. Jedną karczemną zabawką ojca biednej dziewczyny z gadatliwymi kumoszami, wyjawiała jej miłość utajoną dotąd, zapalając go gniewem, tembardziej że uczynne kumoszki nie oszczędzały wcale drażliwości ojcowskich uszów, a sądząc według siebie Jarynę, najskaradniej spotwarzyły nieszczęśliwą.

Wieczór był już późny, gdy gospodarz wrócił do chaty, i cicho było, bo dziad stary wieczornie odmawiał pacierze, a oprócz dziada, nikogo w chacie nie było.

— Gdzie Jaryna? spytał gniewny ojciec, gdzie jest Jaryna?

— Nie wiem synu, odrzekł dziad łagodnie.

— A Ostap? gdzie Ostap?

W tej chwili smagła twarz Ostapa zjawiała się u drzwi; czerwony blask tlejącego ognia odzwierciedlał się w jego dużych, błyszczących oczach i na czarnych połyskiwał włosach.

— Ty przeklęty wróćcież, psie cygański! Jak śmiesz zwracać oczy na moje dziecko? wrzasnął wściekle gospodarz i rzucił się zapamiętale ku Ostapowi.

— Stój bałku, czego chcecie odemnie? spytał spokojnie sierota, wchodząc śmiało do chaty.

— Czego chce? Ty mi będziesz bałamucił dziewczynę, ty obdarty przybłędzie! Precz ztąd zaraz! precz, bo cię ubiję!

Oczy Ostapa zaiskrzyły się gniewem. Podniósł dumnie wyniosłe czoło, a postać jego harda taką się nagle uzbroidła powagą, jak gdyby nawykł z dzieciństwa do odbierania holdów.

— Jakiem prawem mówicie tak do mnie, gospodarzu? Jam nie prosił was o chleb łaskawy i tylko przez was uproszony, zamieszkałem w waszej chacie.

Śmiała postać i słowa Ostapa, zrobiły na gospodarzu tak silne wrażenie, że stanął oniemiały, nie śmiąc ponawiać słów obelżywych.

— O, nie wypędzajcie mnie, gospodarzu, rzekł Ostap po chwili, nie wypędzajcie, bo lzy sieroce jak ciężkie kamienie spadłyby na wasze życie, a wyście ojcem Jaryny. Pozwólcie lepiej, że sam pójde z waszej chaty, w świat gdzieś daleki, gdzie mnie moja przeklęta dola poprowadzi. Dobrze tak będzie dla was i dla sławy mojej Jaryny.

— Twojej Jaryny? jak śmiesz tak mówić? Jakiem prawem zowiesz ją swoją, ty nędzniku? ja, córkę pierwszego we wsi gospodarza?

— Zowie ją moja, bo ona mnie kocha, ona przysięgła mi jednego tylko kochać na ziemi. Słyszycie?

W słowach jego było tyle gorzkiego urągania, a w postawie tyle rozkazującej dumy, że raz jeszcze powstrzymany gospodarz, nie wiedział prawie co począć. Po chwili dopiero rzekł dalej:

— Słuchaj Ostapie, pójdz ztąd precz, jeśli nie chcesz żeby ludzie ośmielił mi i Jarynę. Oto dziś zmówiłem się ze starymi Hryniami; syn ich już dorosły. O tych zmówniach wie już cała gromada i w przyszłą niedzielę nastąpi swatanie.

— Co?

— Swatanie, mówię tobie.

— Jakto? czyje?

— Jaryny.

— A cóż mówi na to Jaryna?

— Jaryna nic nie mówi, bo o tem wcale nie wie.

— Nie wie? A jakżeście śmieli obiecywać ją bez jej woli?

— A tobie co do tego, Cyganie jakis? Dość na tem że trzeba ażebyś ztąd poszedł, nietylko z chaty, ale i ze wsi, gdzie cię oczy poniosą; bo jeśli tu się będziesz włóczył, zbije tę twoją Jarynę tak, że będzie czarna jak twoja swita.

— Bałku, przez litość! co wy mówicie?

— Przysięgam ci na Boga, że tak uczynię.

— Ja pójde bałku, dobrze, zaraz pójde. Pozwólcie mi ją tylko pożegnać, pozwólcie zostać do jutra.

— Nie, nie, idź mi ztąd zaraz, w tej chwili!

— Zlitujcie się bałku, pozwólcie zostać jeszcze.

— No, we wsi jeszcze zostań, ale do jutra tylko.

— Bądźcież zdrowi, żegnam was wszystkich, których ukochałem raz pierwszy podobno w życiu, rzekł żalnym głosem Ostap i zbliżył się do dziada.

Dziad, oniemiały z boleści, siedział na ławie podczas całej tej sceny. Teraz powstał, złożył ręce na głowie Ostapa i rzekł przerywanym od wzruszenia głosem:

— Idź z Bogiem, synu, błogosławie tobie, w Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Niech cię aniołowie Pańscy prowadzą drogami swojemi, a ja tu modlić się będę za dołą Jaryny i za twoje.

Ostap zakrył oczy dłonią i wyszedł powoli z chaty, jak skazany na śmierć wychodzi po raz ostatni za mury swojego więzienia.

Nazajutrz, nad wieczorem, przyszedł Ostap pożegnać Jarynę. Gwiazd już kilka drżało na tle niebios, lekki тумan wznosił się nad jeziorem, przezroczyście, ulotną zastaną. Nad wodą u brzegu stało nieruchome czółenko, i wszystko było jak dawniej, jednego tylko szczęścia nie było.

— Jaryno! mówiłem tobie, że niedługo szczęśliwi będziemy, rzekł Ostap. Bóg mi czarna, bolesną naznaaczył dołą, a tyś mi chciała przygarnąć do serca, i ot.... Jaryno! ja daleko, daleko od ciebie pójde gdzieś konać samotnie i uszy moje nie usłyszą kochanego głosu twojego, i oczy moje sieroce nie ujrzą cię nigdy już na ziemi, aż je obcy gdzieś ludzie zamkną i piaskiem suchym przysypią, żeby już raz przestały płakać za tobą. Bądź zdrowa!

— Nie, nie odchodź jeszcze, Ostapie, szeptała Jaryna, po raz już ostatni widzimy się w życiu, a ty się śpieszysz. Poczekaj!

I lzy przerwały mowę biednej dziewczyny, piękna twarz jej pobladła, niby biały płatek śniegu, i drobnymi rękoma cisnęła silnie dłonie Ostapa, jakby lekka się by jej nie zniknęła, jakby nie czuła w sercu siły pożegnania się z nim na wieki.

— Ostapie, Ostapie, mówiła płacząc. Czemu też Bóg mnie nie uczynił ubogą, zapomnianą sierotą? Poszłabym była z tobą na koniec świata i niktby nie śmiał zatrzymać mnie dzisiaj, niktby nie kazał mi umierać z tęsknoty za tobą. O, żebyś Bóg przynajmniej wysłuchał mojej prośby, żeby umarła tu, przy tobie jeszcze, żebyś ty przynajmniej usypał grób nad moją trumną! O Boże, Boże litości, miejże miłosierdzie nademną!

— O moja jedyna, nie nam już lzy nie pomogą. Spełni się, co się spełnić musi. Braknie mi siły odejść ztąd, a jednak iść muszę. Moja Jaryno, moja dolo kochana, bądź zdrowa!

— O Ostapie, ja umrę, ja umrę! lkała nieszczęśliwa. Zaczekaj, nie odchodź, przez litość, Ostapie! I upadła na kolana bez pamięci.

On stał, blady śmiertelnie na twarzy, i ani jedna łza nie popłynęła mu po licu. Obląkanym tylko wodził dokoła wzrokiem, nieruchomy, oniemiały, jakby skamieniał z boleści.

W tej chwili dziad stary wyszedł na podwórko. Stanął zdziwiony na widok rozpaczony Jaryny, w zagasłem jego oku lza błysła gorącą i spadła na długą, osiwiłała brodę. Podszedł do Jaryny i podniósł jej głowę z ojcowską troskliwością.

— Moja dziewczyno, moja holubko, dziecko moje rodzone, ty nie słyszysz?

Ale nie odebrał odpowiedzi, bo Jaryna była zemdlona.

— Ratuj, ratuj didu, szepnął z boleścią Ostap.

— Idź już synu, rzekł stary, ona zemdlą, jej trzeba ratunku i spokoju, a ojciec gdy cię tu zastanie, spełni obietnicę, ty wiesz.

— O mój didu! ja nie mam siły iść ztąd od niej, wszak po raz ostatni ją widzę na świecie!

— Synu, jest jeszcze świat inny. Na tamtym jest prawda i miłosierdzie, na tamtym Bóg i anieli niebiescy złączą was oboje w szczęściu i odpoczynku. Idź w pokój, synu, bo miłosierdzie Pańskie nad sierotami bez końca jest i granic, jak to niebo nad naszymi głowami.

Ucałował Ostap drżącą rękę starca, na czole omalając Jaryny złożył ostatni pocałunek i odszedł.

W tydzień potem dzwoniły dzwony u cmentarnej kapliczki i pierwszy grób wykopano na nowym cmentarzu, pod dużym białym krzyżem. Snaż pierwszy już ktoś, strudzony męczącą drogą życia, przyjdzie tu spocząć, daleko od ludzi, pod ramionami wyniosłego krzyża. Wieczny mu i nieprzerwany spokój!

Od znanej nam chaty, sześć czarnych wołów ciągnęło wóz pogrzebowy. Przed wozem szli parobcy, niosąc na marach trumnę niewielką; pierwszym z nich był Ostap, blady i milczący jak grób—a w trumnie leżała Jaryna.

Odkrytą była trumna i blada twarz umarłej świeciła jak lilia wśród kruczych, rozpuszczonych włosów; zielony wianeczek z barwinku otaczał śnieżne jej czoło, a ręce złożone na piersiach trzymały krzyż Zbawiciela. Za trumną szła matka płacząca i głośno zawodziły pokrewne dziewczęta. Dużo ludzi szło za niemi, śpiesząc oddać młodej zmarłej ostatnią posługę, i niejedna też kobieta, w prawdziwym żalu, ocierała zwilżone łzami oczy.

Słońce się zniżyło za krańce widokrepu, gasnąc w różowej mgłę zachodu, kiedy ludzie spuścili trumnę dziewczyny do ciemnego dołu, kiedy niewielka mogilka stanęła usypana nad dziewiczym jej ciałem.

Ukłękli wszyscy przytomni i zmówiwszy raz jeszcze pacierz za jej duszę, odeszli od świeżego grobu. Jeden Ostap przy nim został. Cichy i blady, bez łez i jęku, usiadł spokojnie u stóp mogilki i przytulił do niej głowę sierocą, powtarzając półgłosem: „moja jedyna, moja jedyna!”

Kilka dni upłynęło, lecz o Ostapie nikt nie wiedział; aż w końcu stróż cmentarny przybiegł do dworku Stanisława, prosząc o pomoc dla chorego, i poprowadził młodego pana na cmentarz, gdzie zastali Ostapę śpiącego słabym głosem ulubione pieśni Jaryny.

— Panie, rzekł stróż, on od dni kilku nic nie jadł, a żadnego posiłku przyjąć nie chce.

I zawołał Ostapę po imieniu.

— Nie budźcie Jaryny, szepnął Ostap.

— Chłopcze, wstań na chwilę, mamy ci coś powiedzieć.

Młody Cygan podniósł blade czoło swoje, odgarnął ręką krucze, wijące się włosy i dzikiem lecz gasnącym okiem powiódł dokoła.

— Didu, didu, mówił w obląkanu. Ot moja miła ubrana już do ślubu, rozpuściła włosy i zielony włożyła wianeczek. I światła tyle w chacie, świece jarzące; matka płacze, czegoś płacze, nie wiem czego, doprawdy. Ojciec nie pozwala. Cha, cha, cha, daremno, daremno gospodarzu. Wiacie że jam sierota, samotny, odrącony, oderwany od ludzi, jak jesienny listek od rodzonej topoli, a taki żalony i smutny, jak ta badylina, hen tam na mogile sama jedna. Któż mię przygarnie do serca?.... A gdzie ty Jaryno?

— On obląkany, trzeba go przewieźć do chaty, mówił Stanisław.

— Oj nie, nie, łaskawy panie, tu już będzie podobno jego chata. Patrzcie jaki on blady, to nie narówno.

— Jaryno moja, mówił jeszcze Ostap, moja droga Jaryno! Kochałaś mię, pocóż było opuszczać sierotę? Snaż przy mnie niema już nic, prócz łez, prócz kawałka chleba gorzką okupionego wzgardą. Kto tam stoi na mogile? To ona! Taka biała, biała, jako kwiat lilii, a w oko nię niby chmurki. Ot i czółenko na jeziorze, jezioro błękitne jak niebo, popłyniemy już razem i będziemy śpiewać wiecznie, wiecznie!... Jaryno moja! jakaś ty jasna, promienista, jakie to białe kwiaty rozrzucasz po wodzie jeziora? Wołasz mię? Idę zaraz, zaraz, tylko zabiorę ze sobą piosenki.

I opuścił głowę, śmiertelna bladeść powlokła twarz jego śniadą, posągowej prawie piękności; opuścił rękę na piersi i podniósł ją po chwili, jak gdyby mu zabrakło oddechu.

Dobry Stanisław ze stróżem, przenieśli go do bliższej chaty; lecz daremnymi były wszelkie starania i trudy: chory już od tej chwili nie wyrzekł, a przyzwany lekarz odjechał, żadnej nie robiąc nadziei.

To też w parę dni potem, znowu sześć wołów czarnych wiozło towarzysza młodej Jarynie. Mnóstwo było światła i dużo ludzi szło za trumną Ostapową, bo Stanisław chciał przynajmniej świetnym pogrzebem uczcić sieroctwo i uczucie.

Tuż przy grobie Jaryny, złożyli zwłoki młodziana i darnią je pokryli zieloną. Dziś rosna na dwóch grobach kwiatki polne, pną się po nich wiotkie warkocze zielonej powójki i wiatr stepowy użala się nad niemi wiecznym jękiem, wiecznym lkaniem, jak pokutniczy duch nad ziemią przelatując. Coraz więcej też grobów garnie się odtąd pod krzyż wielki cmentarny i Bóg tam łączy w spokoju tych wszystkich, których świat dzielił i rozłączał. A krzyż Pański stoi zawsze nad niemi, wyciągnawszy opiekuńczo ku ziemi ramiona, jak gdyby mówił ciągle: Pójdzcie do mnie wszyscy, którzy obarczeni jesteście.

## IV.

W nowym dworku Stanisława palił się suty ogień na kominie, krasząc wąsate oblicza dwóch portretów zawieszonych na ścianie. Proste, dębowe spręty, duża szafa z książkami i kilka pięknie odtworzonych malowideł włoskiej szkoły, składało cały zbytek schludnego mieszkania.

Cisza była zupełna, czasem tylko warknął ładny chart, drżemiący u komina, lub staroświecki zegar uderzył zwolna godzinę. Nagle drzwi się otwarły i Stanisław z Karolem weszli do pokoju; chart skomlał rzucił się do nich radośnie, lecz odrącony, poszedł znów się położyć, a panowie obydwa, chmurni czegoś, usiedli milcząc przed kominem.

Fitkowski nie śpiewał, zdawał się zamysłony, a twarz

Stanisława uderzała wyrazem niewypowiedzianego rozrzewnienia.

Pierwszy Stanisław przerwał milczenie.

— A co, Fitkowski? czy źle mówiłem, że ludzie nieoświeceni zdolni są do świętych i silnych uczuć?

— A ja może źle mówiłem, że są rozbestwieni i dzicy?

— Jakto, Karolu? czyż może być co wzniolejszego, jak ta miłość i śmierć dwojga kochanków?

— Jakto, Stanisławie? może być coś więcej barbarzyńskiego, jak postępowanie ojca Jaryny? Saturn jeden tylko zjadł własne dzieci, najgłupszy zaś człowiek nie targnie się na ich życie; i małpy nawet tego nie uczynią.

— Zabawnym jesteś, Karolu. Gnięwasz się na ojca za śmierć dziecka, nie zważając że czyn jego nie był rozmyślnym. Gdyby biedny gospodarz przewidział śmierć Jaryny, byłby zapewne nie odpędzał Ostapa i zezwolił na związek małżeński.

— Być może, ale samatyrńska obietnica pobicia tak straszliwie dziewczyni....

— Co do tego, toż oni z podobnemi rzeczami nadto są oswojeni. Bicie jest dla nich środkiem utrzymania posłuszeństwa i moralności w rodzinie; do tego więc nieszczęsnego środka nadto się często uciekają nasi wieśniacy.

— Tak, i to dowodzi...

— I to dowodzi, że uczucia ich, które się tak łatwo rozwinąć mogą, są jednak głęboko zagrzebane; że oni, choć wzniośle czuć potrafią, są czasem bez serca, gdy ich bięda przygniecie, lub trunek odbierze im rozum.

— Jednak ja zawsze myślę, że uczucia takie jak Jaryny i Ostapa są rzadkimi wyjątkami.

— Zapewne, ci kochankowie niezaprzeczonego stanowili wyjątek, gdyż tak kochać umieją tylko wybrani. W ogóle przecież serca wieśniaków są jako perły w muszlach ukryte; całe morze ciemnoty dzieli je od słonecznych promieni, i drzemią też w ukryciu, niewidziane od świata. Tak, mówił dalej Stanisław ze wzrastającym uczuciem, ich serca są jak te zarzewia na pogorzeliśkach: nie ujrzyś ich, aż odrzucisz ciemne warstwy przyniatającego je popiołu. Nam też Bóg powierzył odgrzebanie tych zarzewi, tych świętych iskier niebieskich, aby zapłonęły ku chwale Jego.

Karol słuchał, zdawał się rozważać, pojmować sercem znaczenie słów usłyszanych. Stanisław zaś mówił dalej:

— Wielkie, o bardzo wielkie jest dziś postanicstwo nasze, mój Karolu. Piękne jest ono uznaniem błędów i zadośćuczynieniem pokutnym, lecz stokroć piękniejsze świętym apostołstwem światła, które Bóg nam powierzył. To też błogosławiony, kto poznał drogę swoją, lecz stokroć błogosławiony, kto idzie po niej wiernie, kto pracuje, aby rozprzestrzenić swia-

to Boże pomiędzy ludem, kto pracuje, dlatego że kocha.

— Ale mój Stanisławie, niekażdy może i chce być bakalarzem, niekażdy też ma sposoby i środki do zakładania szkółek.

— Karolu! czyż na szkółkach samych zależy oświata? Zbliź tylko do siebie swoich wieśniaków, nie zniżaj się do ich karczemnych biesiad, lecz podnieś

— Prawdę, prawdę mówisz! zawołał Karol i z dziecinną żywością rzucił się na szyję Stanisławowi.

Uściskali się obydwaj na znak zgody, a Stanisław otarł łzę błyszczącą w pięknym jego oku, mówiąc z cicha: „Chwała ci Boże!”

Od tej chwili zmienił się bardzo Karol. Zaczął kształcić swój umysł, pod kierunkiem Stanisława, co mu nie przeszkadzało zajmować się ludem, i wkrótce

naszych dwóch młodych przyjaciół stawiano jako przykład wszystkim pracownikom na polu oświaty ludowej.

Krasyna Zbarazka.

### Bernard Pretficz.

Pod herbem Wezele pisze Paprocki: „Na Szląsku domów znacznych tego herbu niemało, jako najprzód dom Pretwiczów, którzy się piszą z Gawron.“ (wyd. Turowskiego, str. 643.)

Ważna to wiadomość dla historii szlachty polskiej, że Pretficzowie pochodzą ze Szląska, ale że pisali się z Gawron, to już nie szląski, lecz polski zwyczaj. Przeniósłszy się do Rzeczypospolitej, na sposób szlachecki pisali się z Gawron; gdyby nie przybyli ze swoim ustanowieniem już nazwiskiem, przyjęliby i nazwisko Gawronskich. Nie osiedli jednak odrazu na Podolu, bo tam wsi Gawron niema, tylko gdzieś w koronnych ziemiach, bliżej Szląska, może w Sandomierskiem. Tak w samym nazwisku i w przydomkach, Pretficzowie ślady swojego przejścia po ziemi polskiej zostawiali, aż wreszcie dostali się na Podole, które jeszcze za Jagiellonów pół na pół należało do Litwy. Tutaj unieśmiertnili się sprawami rycerskimi, i dlatego jako ojczyzna Pretficzów szczególniejszą zasłynęło Podole.

Było tam rzeczywiście pole do rycerskich wyścigów. Kraj mało zaludniony, leżał prawie na krańcach świata nieznanego. Po za Podolem na południe i wschód były stępy i niezmierna okiem Ukraina, po której włożyli się Tatarzy, wypatrując miejsca i chwili stosownej, jakby się mogli przemknąć na Ruś Czerwoną pod Lwów, albo w szerokie równiny wołyńskie. Braclaw i Winnica, dwa grody, wznosiły się na granicy od południa i zasłaniały Wołyń; ale Ruś Czerwona była otwartą, bo Kamieniec mogli z daleka omijać Tatarzy. Lecz pierś szlachty podolskiej bezpieczniejszą bodaj były dla Rusi twierdzą, jak Braclaw i Winnica. Było tej bitnej szlachty na stepach

czujne oko i myśl wiecznie czujna. Musieli dzień i noc mieć się na ostrożności, jeżeli dbali o spokojność, o życie. Hordy tatarskie pojawiały się niespodzianie, prawie znięcka, o każdej porze, na wiosnę, na lato i na jesień. Ciągła niepewność o jutro wykształciła dziwnie rycersko tych dzielnych kresowych synów stepu. Wojenne trąby były dla nich codzien-



BERNARD PRETFICZ. (Rysował Polkowski, z portretu będącego własnością hr. ordynatów Zamojskich w Warszawie).

ném hasłem. Rozszalało się męztwo i ciągle pragnęło bitew, szukało niebezpieczeństwa i sławy. Niktby nie uwierzył do jakich czynów poświęcenia i zapału posuwała się dzielna szlachta podolska. W Siczy, za porohami Dniepru, rozwinęła się kozaczyzna z ludu gminnego, na stepach zaś podolskich kozaczyzna szlachecka.

Starostowie grodów pogranicznych na Podolu byli wodzami wypraw przeciw Tatarom na pierwsze zawołanie; za nimi służebni ludzie królewscy, wojewodowie i panowie z nadwornymi poczty z dalszych okolic Korony przybiegali. Ale pospolicie tak się zdarzało, że przybiegali zapóźno, wtenczas kiedy już Tatarów gonić potrzeba było. Dlatego jak pierwsze hasło trwogi wydawali starostowie, tak i w przedniej straży pierwsi przed wojewodami biegli w gonitwie. Oczywiście z tego wypadła, że na starostów podolskich twierdz nie szli ludzie spokojnego ducha: każdy z nich był to mąż wypróbowany w tańcach tatarskich. Spokojniejsi, poznawszy blisko niebezpieczeństwo, schodzili z granic; kto wytrwał do końca, był niezawodnie bohaterem, a piersi jego przedmurzem Rusi, Korony, chrześcijaństwa.

le pamiątek piśmiennych zostało, Pretficz zaś w chwilach kiedy, jak powiedzieliśmy, Podole było ledwie zaludnionym stepem. Na czyny Chmieleckiego patrzyła szlachta rojna, lud rycerski i liczny; odgłos czynów Pretficza głucho się tylko rozlegał po Koronie polskiej.

A jednak nieśmiertelna pamięć po nim została. „Przez wiele lat, opowiada Bielski, granice ruskie i podolskie od Tatar oganiał, a fortelem swym zawżdy ich używał i wiele fortunnych potrzeb z nimi miewał.“ (Bielski pod r. 1661.) W tych słowach dawnego historyka znajdujemy nowy rys charakterystyczny walki Pretficza z Tatarami. Miał na nich własny swój fortele. Rzeczywiście tak było: każdy naród posiadał swój sposób wojowania, a tatarski był odmienny od wszystkich. Wszakże nie chodziło temu narodowi ani o zawojowanie kraju, ani o szczytowanie jakiej zasady; Tatarzy prosto bili się dla łupów, dla rozboju. Taktyka ich była, że tak się wyrażym, złodziejska: wpaść, zrabować, ludzi uprowadzić i uciec. Trzeba było nauczyć się ich sposobu wojowania, żeby z nimi sobie łatwo poradzić. Stosownie do ich taktyki rozboju, urabiała się na Podolu w szlachcie naszej taktyka odporu. Któreimi traktami przemysłają

Ta dzielność jego sprawiła, że królowa Bona zrobiła go starostą barskim na Podolu, to jest urządzenie powierzyła mu obronę tego kraju. Bar dawniej nazywał się Rowem. Od czasów Kaźmirza Jagiellończyka biędne to miasteczko bywało ofiarą ciągłych prawie napaści. W r. 1452 Stogniewa Reja, starosta na Rowie, z żoną pojmałi i wiele innych ludzi porabiali, „bo niewiadomie przyszli“, mówi Bielski. Można się więc było podkraść cichaczem pod miasteczko i dopiero wtenczas spostrzegli niebezpieczeństwo mieszkańców, kiedy już było zapóźno. Dobra te, puszczone w zastaw, powtórnie Tatarzy zniszczyli za Zygmunta Starego. Królowa Bona świeżo majątność tę wykupiła z rąk Odrowąża wojewody podolskiego i zbudowała w niej zamek dla straży i obrony Podola, w miejscu dogodnym do wstrzymania napadu nieprzyjacielskiego, bo to na głównym było wzgłędzie. Zamek ten, na pamiątkę swego dziedzictwa we Włoszech, nazwała Barem. Zasługa to jej wielka i patriotyczna. Niedosyc na tém, chciała kraj zakolonizować. Przykupiła w sąsiedztwie wiele gruntów do zamku i nowe założyła miasto, któremu król wielkie nadał przywileje. Było tutaj kilka osad w jednej: Bar pol-



ZWALISKA ZAMKU W SZYMPARKU W GALICYI. (Rysował z litografii Fabijański).

Takim bohaterem był Bernard, czyli po staropolsku Bernat Pretwic. „Był, powiada o nim w Herbach rycerstwa polskiego Paprocki, Bernat już wieku naszego mężem, sławy i pamięci wiecznej godnym, o którym ci historycy wiele powiadać będą; to był mur krajów podolskich wieku swego, często hordy tatarskie nawidzał z wielkim ich upadkiem.“ (wyd. Turrowskiego, str. 643).

Pretficz, ciągle na czatach, wslawił się już za czasów Zygmunta Starego. Ale niewiele wiemy o jego zapasach rycerskich, bo źródła nasze historyczne szczupłe są dotąd w opisy wypadków ściśle miejscowych, prowincjonalnych. Największa część tych czynów męztwa ginęła w niepamięci kraju, bo nikt ich nie zapisał w kroniki i latopisy, z wielkim żalem potomstwa. Jest nadzieja że szereg te i inne jeszcze się odkryją, ale nie zdobędziemy się już nigdy na zebranie tak wielkiego faktów szeregu, żeby nam dał obraz walki, jeden bodaj żywot dzielną, bohaterski. Pretficz w swoim czasie był tém dla Rusi, czém w sto lat później Stefan Chmielecki na Ukrainie; ale Chmielecki, szczęśliwszy, żył w czasach, z których nam wie-

się Tatarzy, jak idą, jak napadają i zabijają, jak uchodzą, dopędzeni w gonitwie jak walczą, jakich sposobów używają do odporu, to wszystko odgadnąć musiała szlachta podolska, żeby skutecznie poskramiać mogła zamachy na spokojność Rusi. Jednym wyrazem, trzeba było na Podolu odbyć rycerską szkołę. Waleczność, męztwo, mogły się przydać na innych placach; tutaj potrzeba było jeszcze użyć zręczności, chytrłości, przebiegów, żeby szybkiego wroga w lot pochwycić, uciekającego otoczyć i z rąk nie wypuścić, plon i jassyr odebrać i w dodatku pomścić się za krzywdy rzeczypospolitą. Im kto więcej na tych stepach walczył, tém więcej do fortelów tatarskich nawykł, tém lepiej potrafił na chytrłość znaleźć chytrłość, podejście stawić przeciw podejściu. Wódz który bystrzejszym okiem szersze przestrzenie obejmował, który nieraz w tych harcach dzielnej szlachcie przywołał, umiał więcej od tego, który zawsze w boju podrzędne zajmował stanowisko. I oto łatwo jest teraz pojąć, co to znaczy „swoje fortele“ Pretficza: znał lepiej Tatarów i lepiej umiał z nimi prowadzić wojnę od innych.

ski, Bar ruski i górny Bar. Pierwszym starostą nad tym zamkiem osadowiła Wojciecha Starzechowskiego, podkomorzego lwowskiego, a potem kiedy Starzechowski przeniósł się do senatu, Pretficza. Nowy starosta już tutaj zastał całą organizacją obrony. Podkomorzy albowiem wałami, fossami, basztami i warowniami opasał nową osadę, opatrzył ją w prochy, działa i pociski, a królowa najęła na swój zoid kilkuset pieszych i jezdnych żołnierzy i tyluż robotników. Ta załoga stanowiła siłę zamku ku odparciu tylko; do boju starosta mógł zwołać okoliczną szlachtę, która i bez zwołania nawet chętnie pod jego chorągiew się gromadziła. Mógł zwoływać i mieszczan, a któryby się z nich nie stawił, miał według wyroku królewskiego karany być więzieniem, ale takim, w którym ucziwi ludzie, nie złoćnicy, pokutować zwykli, tak długo, póki starosta z wyprawy nie wróci. Za to też mieszczanie wielkie mieli przywileje (Starożytna Polska, t. II str. 1036). Król później dodał Pretficzowi drugie starostwo, i tą razą grodowe: Trębowię w województwie ruskiem. Starosta barski i trębowelski cudów męztwa dokazywał. O kilku tylko jego wy-

prawach bardziej szczegółowo wspominają nasze latopisy.

Raz, było to w r. 1544, Tatarowie wtargnęli do Rusi i wielkie szkody poczynili „około Winnicy i in-dziej“, mówi Bielski. Winnica była wtedy grodem litewskim. „Bernat Pretficz, starosta barski, pamięci od nas wszech Polaków godny, opowiada Bielski, puścił się po nich z trochę Kozaków a Czeremisów.“ W Barze osadzeni byli Rusini, Ormianie, Lachy, Czeremisi i Żydzi; ludność bardzo różnorodna. Gdy Tatarzy cofali się już po rabunkach, Pretficz wziął tylko swoich zamkowych Kozaków, nieco Czeremisów i popędził za łupieżcami. Zkąd się ci Czeremisowie na Podolu wzięli? nie wiemy, boć to lud z Suzdala. Ale było ich w Barze dużo, mieli domy swoje i część miasta czeremiską się nazywała. „Uprzejmo aż pod Oczaków, mówi dalej Bielski, za nimi (Tatarami) przyszedł, ano już na wodę wokrepy ludzie pobrane w niewolę wieziono do Kaffy sprzedawać. Płakał patrząc na ich nędzę, mówiąc k' nim, iżbych was bardzo rad ratował, bych jako mógł. Wszakże się tego znamienicie pomścił, gdy tatarskie dzieci, takó żony posiekl i potopił, gdy uciekały na wodę; drugie Czeremisowie strzelali na wodzie jako kaczki. Także się z plonem wrócił w całości do domu. Toż i na drugi rok uczynił.“

W tém opowiadaniu drobną mamy próbkę tego, czém była stepowa dzielność podolska. Pretficz nie pytał się jaka jest liczba nieprzyjaciela, a kiedy ten uchodził, chociaż z małą garścią ludzi, puścił się za nim w pogoni, żeby chociaż go zarwać, żeby chociaż plon odbić, albo cząstkę plonu. Liczył na przerażenie wroga, że uciekał. Li tylko prawie mężtuw polskiemu przypisać, że się na niego nie zwrócili Tatarzy. Ale sądzili pewnie, że Pretficz goni w przedniej straży i że niebezpiecznie go zaczepiać. Tak bez przeszkody dobiegł aż do Kaffy, i tam płakał, widząc nieszczęście swoich, że ich uprowadzono na okrety, a nie mógł dalej biedz za wrogiem. Mścił się odwetem i na przyszły rok już się umyślnie do Krymu wyprawił. Z takimi dzielnymi ludźmi jak Pretficz, rzeczpospolita ze stanu obronnego przechodziła w zaczepny, nękała sama nieprzyjaciół aż w Krymie.

Drugą z większych wypraw Pretficza wspomina Bielski pod r. 1549. Na końcu miesiąca września Tatarzy w krajach ruskich ogromne szkody czynili, a żołnierza nie było. Wtenczas Bernard Pretficz, Jan Herburt, Aleksander i Prokop Sieniawscy, puszczali się na zagony tatarskie, luzno, każdy z osobna. „Ale gdy wielkości ludzi wytrzymać nie mogli, Tatarowie zamek Peremirkę oblegli, na którym, jako nieopatrzonem, a ludźmi niemalami ociążonym, gdy Wiśniowiecki książ utrzymać się nie mógł, poddał się z żoną Tatarom. A gdy on z zamku wyszedł, ostatek ludzi jął się mężnie bronić Tatarom; ale Tatarowie, podstęp uczyniwszy, zameczek spalili i ostatek pobrali.“ Od Peremirki szli dalej w Pińsk, ale hetman Tarnowski ściągnął już od Sandomierza pod Tarnopol, a od Przemyśla nadchodził Piotr Kmita, wojewoda krakowski. Nie doszedł już Kmita na miejsce, bo hetman i bez niego Tatarów poraził.

Podobno w roku 1550 oblegli Bar Wołochowie. Nietylko ich odparł, ale zrobiwszy wycieczkę, znaczną najezdnikom zadał klęskę. (Starożytna Polska, II 1036). Musi tu być pomyłka w roku. Zdaje się albowiem że ta wojna była później cokolwiek, to jest w r. 1554, kiedy Elias wojewoda wołoski, poturczywszy się, na Polskę nawiódł razem i Tatory i Wołochy. Najwięcej wtenczas ucierpiał Braclaw, który Elias do gruntu spalił; wiele ludzi rycerskich tam poginęło, a Korona ogromną stratę poniosła. Tatarowie obciążeni łupem odeszli (Bielski).

Mamy z tego czasu spisany inwentarz zamku barskiego. Było na nim hakownic 56, półhakownic 1120, zbrój polerowanych 2, z hełmem 1, z przyłbicami 6, gołych przyłbic 56, przyłbic czapkami zielonemi ob-szytych 52, kaftanów zamkowych 6, mieczów 11, siekierok 3, prochu beczek 23, lepszego centnar, kul 4734. (Starożytna Polska, tamże).

Kozacy, którzy pod dowództwem Pretficza walczyli, rachowali aż na 70 bitwy które stoczył i wygrał z pogaństwem. Nieraz się pod Oczaków i Belgrad zapędzał. Tatarzy na samo imię jego pierchali. Cóż dziwnego, że był szeroko sławnym w całej Koronie? Kromer wychwalał go już w mowie żalobnej, którą miał na pogrzebie Zygmunta Starego. Naród wdzięczny na Podolu powtarzał w późniejszych czasach:

„Za czasów pana Pretficza  
Spała od Tatar granica,“

i pogawędka ta ludu stała się narodowem przysłowiem. Treść jego zrozumiała i wyraźna. Napady tatarskie musiały być rzadsze na Podolu, póki żył Pretficz, bo dla czegożby inaczej spała granica? Widocznie większe tam było niebezpieczeństwo.

Młodzież z ochotą pod chorągiew Pretficza śpieszyła, nawet z oddalonych ziem koronnych, nawet ze dworu. Tak wspominają dzieje, że Jakub z Zakliczyna Jordan, wnuk kasztelana bieckiego, pacholeciem był na dworze Zygmunta Augusta, a iż go myśl zawsze ciągnęła ku rzeczy rycerskiej, uprosił się żeby mógł być przy Bernardzie Pretficzu. Będąc przy nim czas niemały, „zawždy sobie we wszystkich potrzebach, w których z nim bywał, znacznie poczynął.“ (Herby rycerstwa, wyd. Turowskiego, str. 956).

Ożenił się Pretficz z Zawadzką i miał z niej syna Jakuba i córkę, która poszła za Jana Chodorowskiego. Umarł r. 1561. (1).

Wszyscy nasi dziejopisarze szlachty: Paprocki, Gwagnin, Niesiecki, piszą o pochodzeniu Pretficzów ze Szląska, i musimy temu wierzyć, chociaż rzecz dziwna, w Nestorze jeszcze spotykamy za czasów pierwszych książąt skandynawskich w Kijowie, wojewodę Pretficza. Był-li to miejscowy Polanin, czy przychodni z za morza Wareg?

Nazwisko to rozmaicie piszą: najpospolitsza pisownia jest Pretficz, ale się zdarza także czytać Pretwicz, Pretwic i Pretfic, a nawet Praetwic i t. p.

Julian Bartoszewicz.

## ROZWALINY ZAMKU W SZYMBARKU.

Pozdrawiam was, o lasy! wy wody i skały,  
I was mury! gdzie męztwo i cnota jaśniała,  
Gdzie miłość ze szczerością długo przykwitała,  
Bez których człowiek musi być sły by i mały.  
M. B. Stęczyński.

Szymbark, niewielka wieś w obwodzie jasielskim, nad rzeką Ropą, leży w stronie pięknej i górzystej. Okolica cała bardzo malownicza, jest to bowiem właściwie owo o podgórzu karpaccie graniczące rozgórze, które odznacza się w kraju naszym wyłomami przerywanymi jednostajność równin, a tém samém dodaje im wiele rozmaitości i wdzięku.

Wpółród powabnie rozrzuconych, w różne kształty pokrajanych, drzewami, łąkami i ornami polami urozmaiconych pagórków, płynie Ropa, bystra i dosyć głęboka rzeczka, która od lewego boku wpada do Wisłoki, większej już rzeki w Galicyi, noszącej przed połączeniem się swoim pod Jasłem z Ropą, nazwę Dębówki. Powabnym przeginając się załomem, płynie po pod same stopy zamku, który dotąd nie runął jeszcze całkiem w gruzy, a mury swoje wyniosłe, w czworobok wystawione, basztami narożnymi sterczące, odbija w jej wodach czystych. Dosyć dobrze zachowane rozwaliny dodają najwięcej powabu temu zresztą zupełnie sielskiemu widokowi, rozbudzając w patrzającym tysiące myśli i uczuć biegnących wstecz ku tyle zawsze nam drogiej, nigdy niezapomnianej przeszłości naszej. I patrząc na te czarne, przez wieki okopcone mury, tém swobodniej bujać można po dziejowej przeszłości, iż nic o tym zamku pewnego nie wiemy, prócz tej tylko wieści historycznej, że tu istniał przed wielą jeszcze wiekami zamek wystawiony przez Kazmirza Wielkiego, który od jego czasów rozmaite przechodził zapewne koleje, rozmaite zmiany i przekształcenia, bywał nieraz i warownym zamkiem, i spustoszonem rumowiskiem, zanim przyszedł do stanu w jakim się dziś znajduje. Ostatnie jego przekształcenie zostawione było naszym czasem nieromanicznym, naszemu wiekowi miłującemu przedewszystkiem pożytek i przemysł. Jakoż w ongi Kazmirzowym zamku, choć zewnątrz do gruzów podobnym, zaprowadzono wewnątrz nowy porządek: miasto dawniej wrzawy wojennej, wrą i kipią dziś maszyny parowej gorzelni, a pełne gorzałki kufy, zastąpiły po ścianach miejsce dawnych rynsztunków rycerskich. Z rozmaitych kolei zamku tego wiemy jeszcze, że Rakoczy książkę siedmiogrodzki obległ go, zdobył i swoim zwyczajem zniszczył ze szczerem.

Mieszkańcy wsi Szymbarku zajmują się wszyscy prawie bieleniem płócien, któremi handel w tej okolicy jest bardzo rozprzestrzeniony.

Roku 1784 oderwała się gliniasta góra z lasem na niej stojącym od wysokiego grzbieta i zsunęła się ku Szymbarkowi; jestto zjawisko przyrody do najosobliwszych w kraju naszym należące. (Z ok. Gal.)

## Z S U W A Ł K D O A U G U S T O W A.

przez

ALEKSANDRA O.....

(Dalszy ciąg.)

Po chwili milczenia, starzec, wskazując biczem na odlew, powiedział:

(1) O synie jego Jakubie, kasztelanie kamienieckim, znamy także bohaterze, kiedyś może osobno obszerniejszą podamy wiadomość. (Przyp. redak.)

— A to tutaj gdzieś przebywał Michałek.

— Co za Michałek?

— To pan nie wie o Michałku?

— A nie wiem.

— O tym co to chciał, coby jego nikt nie widział?

— Nie wiem.

— A dyć to i wielki i mały wie o tém.

— Żałuję że do dziś dnia nie slyszalem jeszcze o owym Michałku. A dawno to było?

— Mój ojciec, kiedy był jeszcze pastuszkim, to widywał Michałka. Kawał czasu! To widzi pan, proszę łaski pańskiej, mój ojciec mawiał, co tutaj oto, w tych stronach, jakiś rażny parobczak, którego zwano Michałkiem, zakochał się w córce bogatego gospodarza. Ale co ona, to jego nie lubiła. Co tedy robiąc mój Michałek, zaczął nudzić, schnąc z tegiej miłości, aż całkiem zdziczał i zdawało się co o dziewczęce zapomniał, a wziął po lasach chodząc, jak błędna owca. Dziewka moja tedy to widząc, co on już o nią nie dba jak o psi pazur, zaczęła sama za nim latać. Bo to już taka psia natura u babskiego rodu. Ty do baby, ona ucieka; ty uciekasz, ona za tobą. Skaranie boskie te baby. Co tedy robiąc, dziewczka łowi Michałka, a mój Michałek jak mruk.... A w niego już wtedy ladaśty (czart) wstąpił. Jakaś baba zebrańska, czarownica z łysiej góry, bo juści nie kto dobry, a może i sam ladaśty w skórze babiej — nagadał Michałkowi, co jeżeli kto chce, żeby jego ludzie nie widzieli, to trzeba dziewięć serców z dziewcząt wylupić i gorące zjeść. Kogo Pan Bóg ma skarać, temu najpród rozum odbierze. Tak i z Michałkiem było. Uwierzył bestya wiedźmie babie i dawaj dziewczki łapać po lesie, serca wylupiać i zażerać. Z początku nic. Znajdują dziewczkę zabita, z wylupionem sercem: nie wiedzą co to takiego. Ale mój Michałek serce po sercu, serce po sercu, już ośm serców pożarł, i ludzie się opatrzyli, co nie kto tyło on dziewczki zabija. To tedy żadna dziewczka nawet nosa wścibić do lasu nie śmiała. Albo to zarty? A Michałek chodzi tyło jak mruk po lesie i wygląda dziewiętego serca. Ale moje dziewczki nie głupie, pilnują się, siedzą doma. Tyło jedyna jeszcze ona kochanka Michałkowa lata do lasu, coby na niego popatrzeć; bo co Michałek dla niej dalszy, to ona dla Michałka przytulniejsza. Co jej ludzie nagadali.... co naprzestrzegali, co naprosili: ej daj pokój.... ej nie lataj do Michałka, ej ustatkuj się!.... Tak jak groch o ścianę. Moja dziewczka jednem uchem słucha, a drugim wypuska ludzkie gadanie. Aż patrzą, a moja dziewczka ze wsi gdzieś zniknęła. Niema jeden dzień, niema drugi dzień, niema trzeci dzień... kiepsko. Szukają—szukają, pytają.... do lasu poleciała, mówią ludzie. Idą do lasu i patrzą, aż moja dziewczka zabita, z wylupionem sercem, przywiązana do drzewa stoi we mrowisku. A Michałek tańcuje w okolo i śpiewa: „a dziewięć serców dziewkowych zjadłem, a nikt mnie teraz nie widzi!“ Patrzą, a mój Michałek oszalał. Widać co kiedy on swoją kochanicę zabijał, a jej serce pożarł, a doznał co sam siebie widzi, więc i ludzie jego widzieli będą, to i oszalał z tegiej żalosci. Sumienie zagryzło nieboraka; i duszę zgubił, i żywot zmarnował, a wszystko przez to, co zawiele dziewczkę kochał, a baby słuchał. Bodaj nikomu jeszcze na dobre nie wyszła taka sprawa. Bodaj już to niema na świecie głupszej rzeczy jak to kochanie. Napatrzał się ja nieraz na to sielmostwo! Jak jakie licho wlezie w człowieka, jak się zaślepi w dziewczę, to dla niej zapomni i o Panu Bogu, i o ludziach, i o gospodarce, i pewnikiem zmarnuje się, jeżeli łaska Boska go nie uratuje.

— A wy kochaliście się kiedy, panie gospodarzu?

— Ot niema o czém gadać, proszę łaski pańskiej, szczerne głupstwo na świecie i dosyć.

— Ale przecież?

— At! wstyd człojekoju tyło wspomnieć.

— Więc kochaliście się?

— Juści nie co, tyło tak i było. Niema o czém gadać, proszę łaski pańskiej. Człek to na potem tyło styda się swojej głupoty.

— A dziewczka zapewne była piękna?

— Oj trucizna to była, trucizna! co prawda, to prawda. Nie tego świata piękność miała. Bywało sam nie wiem co się z mną robi, kiedy w jej oczy spojrzę, taka trucizna! takie jakieś czy.... skaranie Boskie jednem słowem. Zdaje się człowiek wzięby i pomarł tu wraz przed nią, jak spojrzę kanalia. Tfu! do paralusza! jeszcze i teraz jak sobie wspomnę, to cości człojekoju markotno. W Imię Ojca, i Syna, i Duchu świętego!

— A dawno to było?

— Kawał czasu.... oj oj oj! jeszcze byłem wtedy parobkiem.

— I nie ożeniliście się z tą dziewczyną?

— Pan Jezus bronil... Ja był wtedy mizerak, a ona córka tegiej bogacza. Zmarnowała się na świecie,

## PRZEGLĄD POLITYKI ZAGRANICZNEJ.

20 lutego.

Dzienniki francuskie wszelkich odcieni, stanowczo zaprzeczają wieściom amerykańskim o mniemaną porażce Francuzów pod Pueblą. W rzeczy samej, wiadomość o zwycięstwach generała Legrate, o wzięciu do niewoli oddziału generała Bazaine i t. d., wszysko to wyległo się w głowach dziennikarzy amerykańskich, spoglądających z obawą i zawiścią na obecność Francuzów w Ameryce. Za dowód najlepszy jak małe te depesze zasługują na wiarę, posłużyć może raport generała meksykańskiego Orlegi. Dowódca sił meksykańskich zawiadomił Juareza, że w dniu 19 grudnia przednie strażę korpusu Rivera starły się z przednią strażą francuską generała Berthier, że Rivera nie miał zamiaru powstrzymać stanowczo Francuzów i że dzięki gęstej mgłę, honor oręża meksykańskiego ocalał szczęśliwie. Z dzienników francuskich dowiadujemy się także, iż Francuzi dwiema kolumnami idą na stolicę Meksyku i że najdalej za dwa tygodnie spodziewać się należy wiadomości o wzięciu Puebli i Meksyku. Tymczasem świeże posiłki wysyłają z Cherbourga. Rozprawy nad adresem w izbie prawodawczej, zakończyły się przyjęciem bez zmiany projektu komisji, większością 245 głosów przeciw 5 członkom opozycji. Deputacja ciała prawodawczego złożyła adres u stóp tronu w d. 14 b. m. Cesarz Napoleon przyjął uroczystie deputację, i wyraziwszy swe zadowolenie ze zgody istniejącej między rządem a ciałem prawodawczym, dodał te słowa: „Zgoda ta jest niezbędną, zwłaszcza w tej chwili, kiedy na wszystkich punktach ziemi prawda zaciemniona jest przez tyle sprzecznych namiętności.“ O podróży cesarzowej wraz z następcą tronu, niema dotąd nic pewnego, zdaje się wszakże iż odłożoną została do lata.

Wiadomości z Ameryki dochodzą do dnia 5 lutego. Dzienniki angielskie malują w najsmutniejszych barwach położenie stanów północnych. Wszyscy stracili cierpliwość i wiarę w Lincoln, tak iż widzą już przed sobą rozpadnięcie się stanów nie tylko na dwie, ale nawet i na trzy rzeczypospolite: północną, południową i zachodnią. Ostatnie klęski armii Potomaku doprowadziły rzeczy do przesilenia. Generał Burnside złożył dowództwo i pomimo oporu prezydenta, opuścił główną kwaterę. Wśród takich okoliczności, nie pozostawało rządowi nic innego, jak powierzyć dowództwo generałowi Hooker, znanemu wprawdzie z osobistego męstwa, ale bez wyższych zdolności oficerowi. Dzienniki sądzą, że pośrednictwo francuskie może mieć obecnie powodzenie w Waszyngtonie. Według wiadomości odebranych z Londynu, walka między stanami trwa bezustannie. W dniu 31 stycznia flota północna, blokująca miasto Charleston, napadniętą została przez dwie opancerzone kanonierki i trzy parowce południowe. Trzyście statków północnych pierzchło w nieładzie, tak iż władze miejskie zawiadomiły konsulów zagranicznych, że blokada zniesiona została. Nazajutrz, to jest w d. 1 lutego, dwadzieścia statków północnych przyplłynęło pod Charleston i powtórnie zablokowało miasto. Napad federalistów na Galveston nie powiódł się. Federaliści wysłali 80,000 ludzi, celem powtórnego oblężenia Vicksburga.

W dniu 17 b. m. izba poselska w Berlinie obradowała w przedmiocie rezolucji komisji budżetowej. Schultze i Vincke zastrzegli prawo powołania ministrów do odpowiedzialności. Rezolucja komisji przyjęta została większością 274 głosów przeciw 35. Dziennik Europa ogłasza okólnik p. Bismarcka z d. 24 stycznia, dotyczący się reformy związkowej. W nocie tej znajdujemy wzmiankę o powtórnych negocjacjach z baronem Karolyi w d. 4 grudnia r. z., w celu dojścia do zgody. P. Bismarck żali się, że Austria chce wprowadzić większością głosów takie zmiany w ustawie, do jakich jednomyślność jest potrzebna. Co się tyczy zjazdu, propozycja hr. Thuna została przyjęta, gdy jednak p. Rechberg zażądał poprzednio pewnych zobowiązań, pan Bismarck odrzucił to żądanie.

Izba turyńska zajmuje się rozbiorem budżetu. Minister skarbu p. Minghetti, w świetnej, przerywanej okłaskami mowie, zawiadomił izbę, że Włochy od czasu jednności wydały 4 miliard franków nad swoje dochody. Dla zrównoważenia budżetu na r. 1864, minister skarbu zaproponował zaciągnięcie pożyczki 700 milionów, podejmując się uiszczyć ją w zupełności w przeciągu lat czterech. W końcu p. Minghetti złożył w izbie projekt do prawa upoważniającego mini-

sterium do powyższej operacji. W d. 11 b. m. król Wiktor Emanuel przyjmował na uroczystym posłuchaniu p. Usedom, posła pruskiego w Turynie. W tymże dniu w Neapolu rzucono bombę pomiędzy arkady pałacu, podczas balu u księżny genueńskiej. Kilkaset szyb potłukło się, zresztą ofiar żadnych niema. Sprawa zamachu niewiadoma.

Pan Bulgari, prezes rządu tymczasowego w Grecyi, złożył swą władzę w zgromadzeniu narodowym dnia 2 b. m. Kommissya wyznaczona do zebrania głosów na wybór nowego króla, zdała sprawę ze swych czynności. Okazało się że książę Alfred otrzymał 230,016 głosów. Książę Ernest koburgski stanowczo odrzucił ofiarowaną mu przez Anglię koronę Grecyi. Poddani koburgscy przyjęli tę wiadomość z nadzwyczajnym zapałem i radością. Spokojność w Peloponezie przywróconą została.

Sejm sztokholmski, na ostatnim posiedzeniu, przyjął uchwałę w przedmiocie wprowadzenia jednostajnych miar, wag i monet, w Szwecyi, Norwegii i Danii. Jest to jeden krok więcej ku unii skandynawskiej. Rząd wniósł w izbie projekt reformy parlamentarnej. Wprowadzenie systemu dwuizbowego, zamiast reprezentacyi czterech stanów, jednomyślnie przez izbę przyjęte zostało.

(Ind. Belge., Schles. Ztg., Patrie, Jour. des Deb., Constit.)

**Ostatnie depesze.** Londyn 17 lutego. Na dzisiejszym posiedzeniu izby wyższej, lord Derby naganiał postępowanie posła angielskiego w Brazylii. Lord Granville przyrzekł przedstawić parlamentowi depezę dotyczącą tej sprawy.

Rzym 16 lutego. Teatr Aliberta spalił się do szczętu. Papież odwiedził uniwersytet rzymski.

Nowy York 3 lutego. Wyprawa Banks'a opuściła Nowy Orlean. Północni udali się do Port Royal. Generał Grant stanął pod Vicksburgiem.

Wiedeń 15 lutego. Piszą z Trzebinii: dwa blokhauzy zbudowane przez Turków, zniszczone zostały przez Czarnogórców.

### NIEZAMYŚL I ZANIEMYŚL.

Do godnych wspomnienia miejsc w dawnej Wielkopolsce, policzyć także należy Niezamyśl. Gdy Krzyżacy roku 1331 wkroczyli w te strony, mieszkańcy okoliczni, szukając obrony przed nieprzyjacielem, usypali według podania Długosza wał siedmiu mil długi, od wsi Kępy nad Wartą i Zwolna, przez Niezamyśl i tutejsze jeziora aż do Głuszyny, rów przed wałem wodą z jeziora napelnili i tu z dobytkiem swym się schronili, a zbliżających się Krzyżaków pod pobliską wsią Pulwicią z wielką klęską odparli.

Dzisiejsza wieś Niezamyśl leży nad jeziorem w powiecie średzkim, na drodze ze Środy do Śremu. Zamieszkała przez gospodarzy wiejskich, ma 16 domów w ryglówkę budowanych, słomą pokrytych i 144 mieszkańców Polaków. Długosz, (1) który Niezamyśl miasteczkiem nazywa, twierdzi, iż za jego czasów znajdowano na tym miejscu i w okolicy liczne kości, a nawet za dni naszych wykopują tu jeszcze ludzkie szkielety, ostrogi i pałasze, świadczące o dawnych bojach. Tak w r. 1816 na wyspie pod przyległym miasteczkiem Zaniemyślem, gdy uprawiano ziemię na ogród, znaleziono 4 do 5 stóp głęboko w ziemi 47 szkieletów i trzy pary ostróg żelaznych; z jeziora zaś, w miejscu gdzie przechowywały się aż dotąd pale świadczące o dawnym moście, dobyto kilka pałaszy, jeden ozdobiony krzyżem krzyżackim, złotem nabijany, (2) inny zadziwiający wielkością swą i wagą, a zbroję krzyżacką wykopaną na zaniemyślskiej kępie, oglądał Fr. Wężyk, autor romansu „Zygmunt z Szamotuł“, w zbiorze hr. Edw. Raczyńskiego w Rogalinie. (3) Wszystkie te przedmioty zachowane były w zbiorowni rogałińskiej, jaki zaś los spotkał tę zbiorownię, to już powiadzieliśmy w artykule dawniejszym, przy opisie Rogalina. Wykopano tu jeszcze między innymi czaszkę ludzką tak wielką, iż dziwić się należy olbrzymiej przodków naszych postawie. Nakoniec w r. 1826, w pobliżu jeziora na wzgórzu piaszczystym, wykopano dość spore naczynie z zwyczajnej gliny, napelnione aż pod wierzch pieniążkami. Były to blaszki nieregularne, w kształcie talerzyków, wypukło-okragłe, grubości papieru, bez stempla, i poznać tylko można było na nich jakies znaczkę w wklęsłej środkowej części, na jednej zaś stronie wyciśnięcia podobne do kwiatków i krzyżyków. Musimy je uważać jako tak zwane brakteaty, które już zapewne przed r. 1331 były w Wielkopolsce w obiegu i w czasie owego nie-

(1) Długosz t. I 25 B, 1013 C.

(2) Przyjaciel ludu, Rok III, I 90.

(3) Raczyński Wspomnienia wielkopolskie, t. I 23, 303.

i ja tylo, tylo co takoz przez nią nie zmarniałem. Ale jak ja poszedł do spowiedzi, jak ofiarowałem się do cudownego miejsca, całe nabożeństwo leżałem krzyżem i napotem wyniosłem się z tej wioski, to powoli i wyszumiało mi ze łba to głupstwo. Ale miałem ja szmat biędy, dopóki nie przenudział. Bywało jak co na mnie nadejdzie, to człojek wzięty i leciał gdzie, leciałby, leciał, na kraj świata. Albo bywało jak człojeka weźmie co ciągnąć, a pod sercem ssać, to i nie obejrzy się, a już i leci do niej przez pola i lasy, tylo coby ją choć zobaczyć z daleka. O to skaranie Boskie! Ale jak ja ożenił się, a ona wyszła gdzieś za mąż do miasta, to ją napotem mąż bił, ona rozpiła się, rozpuściła się jak bicz dziadowski, a mnie tutaj dzieci, tutaj gospodarka. Ona pomarła w krótkim czasie z niestatku, ot i przeboleła, i zdaje się mnie dzisiaj niby mnie się sniło co we śnie.... Gadali ludzie, co ona mnie coś zadała na miłość.

— Jakto zadała?

— A ot są tu baby, co umieją przyrządzać taki owej trunek, zwany *luczyk*, z rozmaitego ziela na nowiku zbieranego uwarzony.... to powiadają jak któremu jaka dziewczka zada tego luczyku, to i przepadnie nieborak z kochania. Tak rychtyk jak w naszej wsi niedawno temu zmarnował się i przepadł jak ruda mysz tegi gospodarz, Łyskal go zowią.

— A jakże to było?

— Ot, nie miała baba kłopotu, kupiła sobie porzuka. Ten mój Łyskal, ożeniwszy się i mający już parę dzieci, a nie przymierzając miał serce jak z masła i litościwy był nad podziw człojek, raz wracający z pola znalazł pode krzyżem jakąś sierotkę dziewczynkę, i zabrał ją do siebie, i przytulił, i wychodował. A moja znajda rosła jak na drożdżach. Wyrosła na taką piękną dziewczkę, co na okoliczność było poszukać takiej. A zwodnica była, a rażna, a do roboty jak iskra: i do tańca i do różańca, jak to powiadają. A co śpiewała, to już i ład przepadł. Nikt tak nie śpiewał jak ona. Pohibił wie z kąd ona wyuczyła się różnych pieśni. Bywało jeszcze jednej nie skończy, to drugą zacznie. Do sądnego dniaby jej nie przesłuchał, końca jej nie było. Mój gospodarz, na swoje biędy, takoz lubił pieśni. Słuchał tedy jej, słuchał, słuchał, słuchał i całkiem oszalał. Gospodarkę porzucił i chodził jak błędny za moją dziewczką. A ona śpiewała, wykrecała się, oczoma przewracała i raptem ze wsi zniknęła jak kamfora. Mój gospodarz zaniemiał. Już i nic nie jadł, i nie pił, i nie gadał i całkiem zahudział. Bywało wyjdzie za wioskę na górę, usiądzie pod krzyżem i patrzy w pole. A tu i noc. A on patrzy i patrzy, a nie rucha się, jak polano. Przychodzi żonka i dzieci, biorą go pod rękę i wiedzą do izby; on nie idzie, a ogląda się. Położa i spi; obudzi się: znouj pod krzyż i patrzy w pole. Aż tak wynędzniał, tak wysechl, co był chudy jak drzazga, a cichy, a pokorny jak owieczka. Co tu się ludzie nastarali: i księdzów, i tych co zamawiają, i wróżki i choroba ich tam wie nie kogo sprowadzali, a lekowali nieboraka; a on nie, siedzi pod krzyżem i patrzy na pole w jedno miejsce. I do świętych miejsc wozili, i wianuszkami kadzili, nie pomagalo: nudział, sechl. Aż razu jednego, po zachodzie słonka, kiedy już pomrok na ziem zaczął padać, powiadają co trzeba iść pod krzyż po gospodarza. Idą, patrzą, a on siedzi i oczy wyraczył na pole, a nie rucha się jak kół. Biorą go za bary, a on sztywny.... a ciagle ma oczy wyraczone na pole. I tak pochowali jego z wyraczonei oczami. Ciagle patrzył i patrzył. I teraz to nawet strach jechać kole krzyża tego, bo ludzie gadają co jego dusza na pokucie tam siedzi, a oczy wyrzeszcza i patrzy na pole, którei owa dziewczka, owa utrapienica wychowanka jego, w świat poszła. Już to prawda co Pan Bóg dał wszelką mądrość człojkowi, ale ladaśty wszelką głupotę na niego nasyła. Jak tylo który człojek pofolguje sobie, a Pana Boga zabaczy, ladaśty jego chop za serce, i już tedy niema co gadać. A przez nikogo ludeńkowie tak nie gina, jak przez baby. Piérwszy nasz rodzic po dzień siedziałby sobie w raju i o nicby niedbał, coby jego baba Jewa na pohibił a na pokuszenie nie wywiodła. Kto raz tylo z babami się zada, ten bodaj nierychło się od nich wykaraska. Choroba z temi babami na świecie! At, kto je wymyślił, nie wiedział sam co robił. Panie Boże odpuść nasze ciężkie grzechy!

Przyjeżdżamy nareszcie do wsi kościelnej Szczebra. Jak tylko kościół było widać z łona sosen, z wiercholka pagórka wyglądający, mój woźnica zdjął czapkę, przeżegnał się i ze skupieniem ducha z cicha powiedział:

— Panie Jezu święty, daj coby czart przy moim skonaniu był tak daleko, jak ja widzę daleko dom Boski.

(Dalszy ciąg nastąpi).

